

*Czy to nie dziwne, że akurat z „tymi”, a nie „innymi” ludźmi splata nas los? Że to „ci”, a nie „tamci” są z nami, gdy się rodzimy, dorastamy, starzejemy? Myśląc o tym, napisałam tę książkę. Nie jest pamiętnikiem, lecz próbą uchwycenia ważnych chwil, dzięki którym jestem taką, a nie inną osobą. Nie wszystkie opisane zdarzenia miały miejsce, wiele spośród nich to wciąż niespełnione marzenia czy fikcja. Zaliczam samą siebie do grona szczęśliwych i czuję, że powinnam podzielić się tym uczuciem z ludźmi, którzy budowali moją drogę. Dziękuję im za to, że byli i są ze mną, a także za moc, jakiej nabrałam w trakcie marszu.*

*Dedykuję „Zapach szarlotki” wszystkim, których kochałam, kocham i, mam nadzieję, będę kochała.*

*Autorka*

Na korkowej tablicy, zawieszonej w kuchni, przyczepione szpilkami informacje przypominały mi o ważnych sprawach. Z tygodnia na tydzień przybywało tam sporo różnokolorowych karteczek i z czasem nakładałam jedną na drugą. W końcu dziś, mimo niechęci do porządkowania tzw. papierków, zabrałam się za kontrolę osobistego komputera. Z okularami na nosie podeszłam do niego w pełnej gotowości bojowej.

Od czego zacząć? Od lewej do prawej, czy z góry na dół? – zastanawiałam się, zerkając na wiszący kalendarz, umieszczony między innymi notatkami, wycinkami z gazet i całą masą barwnych karteluszków.

Luty już minął, więc chyba ta kartka jest zbędna?! Pierwszy ruch mam za sobą! – pomyślałam z nadzieją na sprawne zakończenie długo odkładanej czynności.

Dalej, już z większą werwą, wyciągnęłam z szafki kosz na śmieci. Był zapełniony po brzegi! Puszki po piwie, opakowanie po pizzy, pety i cała reszta odpadków spoglądały na mnie leniwie.

No tak! Wystarczy parę dni! – powiedziałam głośno, choć tak naprawdę niczego innego nie spodziewałam się ujrzeć.

Od dłuższego czasu nie korzystałam z tego pomieszczenia. Wróciłam do Warszawy po dwutygodniowym wyjeździe. Po wielu latach, udało mi się zorganizować wystawę obrazów w mieście, w którym studiowałam. Długo nosiłam w sobie ten zamiar, ale zawsze coś stawiało na drodze. Tym razem zaprosiła mnie znajoma, z którą uczyłam się malarstwa. Od kilku lat prowadziła własną galerię.

Korkowa tablica powoli ulegała oczyszczeniu. Wypinane szpilki kłuły w palce.

Ale jestem pierdołą, zaraz połamie paznokcie! Po co tak wciskałam pineski!? Trzeba przewidywać, że przyjdzie pora, by je wyjąć! – mruczałam pod nosem.

Karteczki przypominały o sprawach, które były jeszcze niedawno bardzo ważne: „Zapłać za telefon! Zamów drewno do kominka! Kup

bilet miesięczny Filipowi! Daj ogłoszenie do gazety w sprawie mieszkania!”.

Z takich chwil składa się całe moje życie, ale... Czy można inaczej?

W niemal filozoficznym nastroju, postanowiłam zrobić krótką przerwę ciasteczkowo-kawową. Zbliżała się moja pora na słodczyce. Była jedenasta.

W kuchni, mimo bałaganu, jaki zastałam po przyjeździe i do którego teraz sama się dołożyłam, potrzebne przedmioty czekały na swoim miejscu w wiszących szafkach. Bez trudu odnalazłam ulubioną filiżankę z różyczką, łyżeczkę i szklany słoik z kawą. Nie lubiłam rozpuszczalnej, tylko mieloną. Miała inny smak, taki, który pamiętam jeszcze z lat, kiedy podpijałam z ukrycia kawę mojej mamie.

„Mieloną trzeba trzymać w szklanych pojemnikach, najlepiej w lodówce” – mówiła. Tak trzymam!

Do elektrycznego czajnika nalałam wody. Włączyłam radio stojące na blacie szafki. Znowu leci jakiś hip-hop. Nie! To nie to, zmienię stację. Syn indywidualista udusiłby mnie, przyłapując na słuchaniu takiej muzyki. Zresztą sama też za nią nie przepadam – przyznałam w myślach. – O! Santana. Może być!

Za oknem świeciło słońce, był pogodny dzień. Brzozy rosnące przed naszym segmentem jeszcze bez liści, ale już bez szronu.

Byle do wiosny! – dodałam sobie otuchy i rozmasowałam wiecznie chłodne ręce.

Czajnik zaczął bulgotać i już po chwili zalewałam kawę. Ten zapach lubiłam nawet bardziej niż smak naparu. Moich ulubionych słodczych nie było, ale w szafce, w blaszanym pudełeczku, znalazłam odrzuconą dawniej paczkę herbatników. Nie są takie najgorsze – skwitowałam, rozgryzając pierwszy kawałek. Nigdy nie schudnę, te ciasteczka mnie zgubią. Podgryzając słodczyce w rytmie Santany, oglądałam to, co jeszcze zostało na tablicy.

Kartka z kalendarza na marzec zupełnie pusta... A nie, jednak coś tam napisałam, ale cienkim długopisem i bez okularów nie zobaczę. Gdzie je odłożyłam?

Do planszy informacyjnej przyczepiałam też odruchowo różne rachunki z zakupów, narosła ich cała masa. Po co je zbieram!? Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, bym poszła z jakąś reklamacją, co za odruch?

Mam to zapisane w genach? Takie drobne przyzwyczajenia, którymi nasiąkam od małego, czasem potwornie komplikują życie.

W radio grała już inna muzyka, bardziej skoczna. Rozluźniłam się na tyle, by pomyśleć o sobie i swym wyglądzie. W małym lusterku, stojącym na parapecie, ujrzałam kobiecinę w średnim wieku z niebieskimi, przydymionymi oczami i poważną miną. Dobrze, że niedawno byłam u fryzjera, zawsze te pasemka trochę mnie odświeżyły! – stwierdziłam optymistycznie.

Jednak, mimo drogiego kremu, który z nadzieją na szybki sukces kupił mi mąż, worki pod oczami nie chciały się wchłonąć. Biedaczek! Pewnie wierzył, że czas potraktuje mnie łaskawiej. Ciekawe, czy jak wróci z pracy, ucieszy się z mojego wcześniejszego powrotu? – zadałam sobie pytanie, choć szczerze mówiąc, nie wątpiłam w to. Sama też już chciałam go przytulić. Jest moim „Piotrusiem Panem” od dwudziestu pięciu lat i jak dotąd na tak długo nigdy się nie rozstawaliśmy.

Pod rachunkami poprzączałam kiedyś wizytówki, które wręczano mi przy przeróżnych okazjach. Ich formy plastyczne były rozmaite.

Zaraz, ta szara to kogoś z Rembertowa?! No, tak, już wiem, to adres brata Zuzi, mojej pierwszej przyjaciółki! Jejku! Ile wtedy miałam lat? Cztery, pięć?

Przed oczami przesuwały się wspomnienia z miejsca, gdzie spędzałam pierwsze chwile dzieciństwa.

★ ★ ★

– Nie wyjdiesz dziś z domu! – krzyczała mama. – Nie ma mowy. Nie po to pijesz syropy i nacieram ci plecy, żebyś w jednej chwili znów się rozchorowała.

– Mamo, ale na dworze dziś ciepło i widzę Zuzię! Bawi się przed domem – odpowiedziałam z nadzieją na zmianę decyzji. – O, zobacz! Pomachała mi.

– Nic z tego, wracaj do łóżka, jeszcze dwa dni i będzie po przeziębieniu. Nie pamiętasz już, jak dziś kasłałaś w nocy?

Z naburmuszoną miną, przybita porażką, powędrowałam do dużego pokoju. Było tam cicho i bardzo ciepło. Przez duże narożne okna wpływały słoneczne warkocze. Ślizgały się po wysokich, starodawnych meblach, które wypełniały swą objętością wszystkie ściany pomieszcze-

nia. Lubiłam tu przychodzić. Zwykle targałam ze sobą szarego miśka. Stawał się moim kumpem w trudniejszych sytuacjach, a dziś było mi smutno.

W pokoju największą atrakcją był czarny, niemiecki fortepian. Sam wygląd tego instrumentu imponował. Lakierowana, błyszcząca powłoka, zawsze nieskazitelnie wypolerowana przez mamę, odbijała jak w lustrze mój wizerunek. Stroiłam przed nim rozmaite miny i wygibaszy.

Jako pięcioletnia dziewczynka spokojnie mieściłam się między klawiaturą a podłogą i w tej niszy budowałam zaczarowane królestwo. Z perspektywy mojego wzroku wszystkie przedmioty wydawały się pożądanymi rozmiarów.

Oszklona, staroświecka biblioteka ojca z gzymsami po bokach zawsze stanowiła twierdzę nie do zdobycia, a akwarium z płaszącymi rybkami, stojące obok, było zaczarowanym jeziorem. Nieopodal jak wyspa rozpościł się tapczan rodziców, obity zielonym sukniem, z całą masą kolorowych, sztywnych poduszek.

Na jednej z nich siedziała moja rówieśniczka, precudnej urody Basia, lalka z zamykanymi oczami, rudymi, długimi włosami, w białej szyfonowej sukience z koronkowymi falbankami i aksamitką pod szyją. Basia, zawsze gotowa na przyjęcie gości, z wyciągniętymi do przodu rękami i uchylonymi czerwonymi usteczkami, zapraszała do rozmowy. Wpatrywałam się w nią łapczywie z pewnej odległości, czując... dystans między nami. Była idealna. Najbardziej zazdrościłam jej czerwonych, lakierowanych buziek wiązanych kokardkami. W ogóle chyba była zbyt piękna, żeby zostać moją przyjaciółką. Jej cielisty koloryt lakierowanego porcelitu był tak nieskazitelny, że aż bałam się jej dotykać.

Zapewne w kontakcie tym nie pomogła mama, która przy pewnej mej próbie rozczesania włosów lalki gęstym grzebieniem krzyknęła:

– Zostaw jej włosy, bo wszystkie powyrywasz! Ona nie nadaje się do takiej zabawy.

– To do czego się nadaje? – spytałam prowokująco.

– Na razie tylko do oglądania. Jesteś jeszcze za mała, by się nią zajmować. Popatrz na swojego misia, chciałabyś, by Basia wyglądała podobnie?

Nie chciałam, zatem pogodziłam się z tym faktem i obchodziłam

ją z daleka. Raz tylko podkusiło mnie, by pożyczyć od Basi pantofelki. Delikatnie je zdjęłam.

Jejku! Nawet paznokcie ma pomalowane! – zauważyłam i z zapałem usiłowałam wcisnąć buciki na swoje dwa razy większe, ortopedyczne. Rezultat był wiadomy z góry, ale bardzo ubolewałam, gdy próba się nie powiodła, za to przez jakiś czas... mój misiek miał eleganckie lakierki z kokardami.

Mama nie pracowała zawodowo. Zajmowała się domem i tym wszystkim, czym trzeba się zajmować, gdy się ma męża i dwoje dzieci. W naszym mieszkaniu często słyszałam jej cichy śpiew podczas wykonywania rozmaitych czynności. Była drobną, ruchliwą osobką, zawsze czymś zajęta i pełną planów. Nie lubiła, gdy usiłowałam pomagać w sprzątaniu czy w pracach kuchennych. Ten rewir zajmowała na wyłączność. Pracowała zresztą bezustannie i chyba sprawiało to jej szaloną radość.

Od rana w niemal stumetrowym mieszkaniu panowało z tego powodu wielkie zamieszanie. Wynoszenie, trzepanie pierzyn i poduszek na sporym, półokrągłym tarasie. Zamiatanie, ścieranie kurzy, czyszczenie całej masy figurek i dzbanuszków ustawianych na nakrochmalonych serwetkach, gdzie się tylko dało.

Tata doceniał wysiłek mamy, sam zajmował się tylko roślinkami. Pielęgnował je, a one odwdzięczały mu się pięknym, zdrowym wyglądem. Do mnie za to często puszczał oko, gdy mama w szale sprzątania przeganiała z miejsca, gdzie się aktualnie bawiłam.

– Będziesz miała czyściutko do zabawy, zaraz tutaj sobie wrócisz – mówiła.

Nie znałam zbyt wielu innych domów, ale często słyszałam opinie na temat naszego:

– Haniu! Jaki tu porządek, aż łni. Kiedy masz na to czas? Zawsze jak się do was wpada, jest tak idealnie czysto, jak u nas przed świętami.

Mama odbierała te komplementy ze spuszczonym wzrokiem, a jej uśmiech wyrażał zadowolenie. Wiedziałam, że tego dnia będzie miała dobry humor i często to wykorzystywałam.

Były też gorsze momenty, które pewnie przyczyniły się do faktu, że sama nie jestem pasjonatką przesadnej czystości. Poruszając się po rozległym metrażu naszego podwarszawskiego mieszkania trudno było

utrzymać bezwzględny porządek, zwłaszcza małej dziewczynce. Wielokrotnie moje zabawy kończyły się awanturą, gdyż bałagan, który pozostawiałam, rozstrajał nerwy mamy.

– No i co znowu zrobiłaś! Kto teraz to posprząta? Cały dzień za mało, by doprowadzić wszystko do ładu, a ty mi jeszcze dodajesz roboty. Mówiłam ci przecież, byś nie dotykała tych figurek – irytowała się, zbierając z podłogi to, co pozostało z jednej z nich.

Tego dnia nagle ktoś zastukał do drzwi. Mama otworzyła i za chwilę wróciła z informacją, że musi zejść na dół, bo przywieźli węgiel na zimę.

– Zostań w domu, niedługo przyjdę – powiedziała i wyszła.

Wróciłam do dużego pokoju, gdzie od rana planowałam zabawę w dom. Pod fortepianem usadowiłam misia, miał pełnić rolę taty. Obok ustawiłam dwie małe filiżanki, które dostałam w prezencie od cioci, a sama byłam mamą.

Czegoś tu jeszcze brak? – pomyślałam. – Tak! Jeszcze kocyk, który będzie dodatkową ścianą i przykryje nasze królestwo. Szybko z sypialni przyniosłam miękką tkaninę w kratę, podniosłam klapę instrumentu i wypychając tam część pledu, zatrzęsłam ją, by w ten sposób przytrzymywała moją ścianę. Dom był gotowy. Po chwili rozmowy z mężem doszliśmy oboje do wniosku, że brakuje nam dziecka. Nie miałam ma-lutkiej laleczki, ale za to posiadałam drewnianą kołyskę zrobioną przez dziadka. Ustawiona przy filiżankach, dopełniała upragnionej całości budowl.

Mama nie wracała, musiałam sprawdzić, czy jest niedaleko. Przez okno zauważyłam, jak wóz z węglem cały czas stoi przed naszym domem. Dwaj panowie ładowali i nosili w wiadrach to, co przywieźli, a mama krzątała się wokoło. Zaprzęgnięty do wozu siwy koń, korzystając z chwili wytchnienia, leniwie ogonem opędzał się od much.

Biedny ten rumak – pomyślałam – Tak cały dzień męczy się na uwięzi.

Lubiłam zwierzęta, lecz sama w domu mogłam mieć tylko rybki. Mama nie chciała słyszeć o psie czy kocie, zapewne z powodu ich wciąż wypadającej sierści. Rybki były, tak jak i moja Basia, tylko do oglądania. Trudno mi było to pojąć, że muszą cały czas moczyć się w wodzie. Na pewno dla odmiany chętnie robiłyby coś innego, tylko nikt nie miał ochoty tym się zająć i im pomóc – myślałam.

Wśród rozmaitych okazów pływała jedna szczególnie piękna. Miała pomarańczowe ubarwienie i długie, półprzeźroczyste płetwy. Jej oczy, większe niż u innych ryb, przyglądały się uważnie otoczeniu.

Tak! Ta będzie najlepsza, uratuję ją od tej nudy – zdecydowałam. Używając leżącego obok sitka, wyłowiłam welonkę i przeniosłam do kołyski. Pasowała idealnie. Na początku trochę było jej niewygodnie, bo się wierciła, ale po chwili, gdy ją przykryłam kołderką, zachowywała się już spokojnie. Postanowiłam, że opowiem jej bajkę o Śnieżce, a potem, jak się obudzi, nakarmię.

Kiedy byłam w krainie krasnoludków i właśnie miała zjawić się w niej Śnieżka zabłąkana w lesie, wróciła mama. Zadyszana i trochę zła, że węglarze porozysypywali przy swej pracy miał na całą drogę do piwnicy, weszła do pokoju.

– Co robisz, Elżuniu? – spytała z zaciekawieniem.

– A nic, bawię się w dom – odpowiedziałam.

– A co robi ten koc w fortepianie?

– Oj, to ściana, mamó.

– Czy mogę cię odwiedzić w tym mieszkanku? – zapytała z uśmiechem.

– Tak, bardzo proszę, nasza rodzinka zaprasza na herbatkę!

– Zaraz, tylko się umyję! – krzyknęła z łazienki.

– Czekamy! – dodałam i w wielkim podnieceniu wyrównywałam fałdy koca, by było schludniej.

Po chwili ktoś zastukał.

– Puk, puk, czy można? – spytała mama.

Zapach różanego mydła zakręcił mnie w nosie, kichnęłam, na co mama zareagowała natychmiast.

– A widzisz, jeszcze jesteś chora, lepiej wracaj do łóżka!

– Nie, mamó, ale pobaw się ze mną, czekałam na ciebie! Zobacz, co tu przygotowałam.

Mama, siedząc w kucki, odsłoniła kurtynkę, pogłaskała mnie po głowie i nagle zeszytywniała w tym geście.

– CO TO JEST!?

Jej zdziwione oczy przeraziły mnie.

– Jak to, jak to co? No dom!

– Ale co ty zrobiłaś, co w tej kołysce robi rybka???

Dalszych pytań nie było, reszta działa się zbyt szybko, biegiem. Moja uśpiona welonka z kołyską powędrowała do kuchni, gdzie mama usiłowała znów skazać ją na przebywanie w wodzie. Widać rybce to nie służyło, bo wciąż wypływała na powierzchnię szklanego słoja.

– Ojciec cię za to wreszcie chyba zleje!

Była wściekła, a jednocześnie po chwili roześmiała się głośno.

– Coś ty zrobiła, ryby mogą żyć tylko w wodzie, bez niej giną.

I tak dowiedziałam się, czym ludzie różnią się od ryb.

Wieczorem, gdy już zegar wybił osiemnałą, wrócił z pracy tata. Pomnę, jak zareagował na stratę w swoim wypiełgnowanym akwariu, ale konsekwencje tego czynu były dla mnie zwrotem w dalszym życiu.

– Ona musi zacząć chodzić do przedszkola! – powiedział zdenerwowany ojciec. – To wszystko z nudów. Wymyśla takie zabawy, bo nikt jej nie podsuwa lepszych pomysłów.

– Mariusz, ale przecież ona nie nadaje się do dzieci, będą jej dokuczały – odparła mama, zerkając na moje nogi. – Nie wiesz jak to jest?

– Czemu mają dokuczać? – zdziwił się tata. – W końcu chodzi normalnie, a do tego, że ma buciki ortopedyczne, przyzwyczają się po tygodniu. Nie musi tam biegać ani skakać. Upprzedzę kierowniczkę, żeby zwolniła ją z takich zajęć.

Nie wiedziałam, o czym rozmawiają, bo nigdy nie byłam w przedszkolu, a jedyna moja koleżanka Zuzia też tam nie była, więc nie miał mi kto czegoś na ten temat opowiedzieć.

★ ★ ★

Z ostatnim kęsem herbatnika przypomniałam sobie o podręcznym bagażu z pociągu. Zapomniałam wyjąć ciasta! Ciocia Bożenka specjalnie piekła mi na drogę. Dlaczego dopiero gdy pierwszy głód na słodczy pokonałam starymi, podsuszonymi petit beurre’ami, dokonałam takiego odkrycia? Ale skleroza! Co prawda nic złego się nie stało, cały dzień przede mną, ale...

Przy drugiej kawce odbiję sobie – pomyślałam, wyjmując z siatki tekturowe pudełko owinięte kuchenną ściereczką. – Co mi dała? Co tym razem upiekła?

Ciekawość zwyciężyła i po chwili, z uśmiechem od ucha do ucha, wąchałam zawartość słodkiego pakunku. Jejku! To szarlotka! A na wierzchu jakiś liścik?

Ach! To przepis! W końcu postanowiła go przekazać. Tak dawno o to prosiłam. Już tylko ciocia pozostała z rodzinnego grona osób, które znały proporcje. Dawniej były skrzętnie chowane przez babcię i mamę. Przez lata wypiek stał się rodzinnym totemem, powodem do dumy. Wszyscy smakosze słodkości odwiedzający nasz dom podziwiali go.

Dla mnie był i będzie zawsze czymś więcej. Teraz z czasem urósł do rangi rodowej pieczęci i herbu. Smak, a zwłaszcza zapach, przywoływał najwspanialsze wspomnienia młodych lat, które nie wiedzieć czemu, szybko uciekają. Domowa szarlotka, jak flakonik ulubionych perfum, zawierała bukiet niezapomnianych, ciepłych chwil dorastania.

Nawet lukier się nie rozpuścił w drodze! – zauważyłam. Jednak wstawię do lodówki.

Z dużą starannością przełożyłam ciasto na odświeżony talerz i przykryłam kawałkiem folii. Nie chciałam, by narażony na sąsiednie zapachy stracił cokolwiek z własnego. Poza tym, tak zamaskowany nie powinien od razu rzucić się w oczy innym domownikom – kombinowałam. Przez chwilę opanowała mnie samolubna chęć. A może schować gdzie indziej? Na szczęście nie do końca poddałam się tej wewnętrznej sugestii, a nawet po chwili całkowicie zmieniłam plany. Postawię na stole! Niech się cieszą od wejścia!

Na kawałku papieru wyrwanego ze szkolnego zeszytu w kratkę, oprócz przepisu, ciocia skreśliła jeszcze kilka słów. Zaciekawiona, odnalazłam okulary i na moment stanęłam przy oknie.

*Kochana Elżbietko!*

*Przypomniałam sobie, że już od dawna prosiłaś o przepis na szarlotkę. Tak naprawdę, to tylko Twojej mamie świetnie wychodziła. Chyba miała więcej cierpliwości albo lepszy piekarnik. Nie wiem, czy moje porady spełnią się w Twojej kuchni, ale mam nadzieję, że tak. W końcu jak coś się lubi, to robi się to z przyjemnością i przeważnie osiąga satysfakcję. Jak przypuszczam, cała tajemnica tkwi w sposobie utarcia jabłek i w odpowiednim ich gatunku. Życzę Ci miłej pracy i oby smakowicie zawsze się udawała! Pamiętaj, że zawsze myślę o Tobie. Dbaj o siebie.*

*ps. Powinnaś chyba wyjechać na jakiś urlop, nie chciałam Ci już mówić, jak się widziałyśmy, ale wyglądasz na przemęczoną.*

Kochana ciotka. Szkoda, że tak rzadko mamy okazję się widywać. A swoją drogą, wyjechać na wczasy to niegłupi pomysł. Przydałoby się pobyczyć nad czystą, ciepłą wodą. Już od paru lat wakacje prze-latują nie wiadomo kiedy. Ciągłe jakieś ważne i mniej ważne sprawy zatrzymują nas w mieście. Pogadam o tym z Andrzejem i Filipem! – postanowiłam, przypominając sobie tamto gorące lato.

★ ★ ★

Tego samego roku, pod koniec sierpnia, dowiedziałam się, że jedziemy z rodzicami nad jeziora. Byłam bardzo ciekawa całej wyprawy, bo jak do tej pory, oprócz paru wizyt u cioci i babci, nigdy nie opuszczałam małego miasteczka, w którym dorastałam. Mój świat zamykał się w jego obszarze, a właściwie był zawężony do kilku najbliższych ulic przy domu. Mieszkalam w nim od zawsze. Co prawda wiedziałam, że urodziłam się w innym, dużym mieście, ale oczywiście nie pamiętałam tego faktu ani dwóch lat, które tam spędziłam.

Po raz pierwszy miałam pojechać na wczasy. Już samo słowo stanowiło zagadkę. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, co oznacza.

– Tato! A co to są te wczasy? – pytałam wielokrotnie.

– Jak to? Już ci mówiłem. Będziemy odpoczywać, opalać się, pływać kajakiem i robić wiele fajnych rzeczy.

– A gdzie zamieszkamy? Czy tam będę miała swój pokój? – dopytywałam, chcąc wyciągnąć jak najwięcej informacji.

– Zamieszkamy w takim małym domku w lesie. Będziemy mieli jeden wspólny pokój, ale każdy własne łóżko – opowiadał.

– I cały czas spędzimy razem, nie będziesz chodził do pracy?

– Właśnie o to chodzi. Wziąłem urlop i nikt mnie przez ten okres nie zmusi, bym robił cokolwiek – powiedział z uśmiechem.

– To fajnie, będziesz miał dużo czasu na zabawy ze mną. Bardzo się cieszę! – mówiąc te słowa, uściśnęłam ojca za szyję i obdarowałam szczerym całusem. Szczęśliwy tato głaskał mnie po głowie i mówił:

– Pakuj zabawki, tylko nie za dużo! Tak, by zmieściły się do twojej walizki.

Od tej pory jak zwariowana biegałam po całym domu i z różnych miejsc wyciągałam swoje skarby. Oprócz miśka musiałam przecież zabrać mały serwis do herbaty, książeczki, papier do rysowania, kredki, no i pudełeczko z kolorowymi szmatkami i koralikami. O dziwo, mama nie protestowała podczas układania wszystkich tych elementów w torby. Sama miała znacznie więcej „niezbędnych” rzeczy.

– Haniu! Daj spokój, przecież jedziemy tylko na dwa tygodnie! Po co ci tyle ubrań, kto to wszystko będzie nosił? – mówił ojciec.

Nie wiedziałam, czy chodzi mu o noszenie odzieży na sobie, czy o dźwiganie wypełnionych nią bagaży, ale tak czy inaczej, nie był zadowolony. Mama jednym zdaniem pokonała jego obawy, mówiąc:

– To wszystko może się przydać!

Do miejsca przeznaczenia dotarliśmy autokarem zakładowym z pracy taty. Po drodze rodzice prowadzili towarzyskie pogawędki z ludźmi siedzącymi obok. Widziałam, że się lubią, bo często wspólnie wybuchali śmiechem. Już na miejscu okazało się, że będą mieszkać obok naszego domku. Ośrodek wczasowy miał nawet swoją nazwę. Podobała mi się i kojarzyła z bajką, którą kiedyś słyszałam. Informowała o tym tabliczka wisząca nad sporą metalową bramą wejściową.

– Tato! Tam jest taki kolorowy napis! Przeczytaj mi!

– O! Rzeczywiście, ale zabawny. „Ośrodek wczasów pracowniczych CZERWONY KAPTUREK” – powiedział ojciec.

Tak pozytywnie nastawiona, oglądałam panoramę okolicy. Wszędzie rosły wysokie iglaste drzewa. Między nimi, jak kwiatki na rozległej łące, stały małe, różnokolorowe domki. Każdy pomalowany był inną farbą, od żółtej poprzez czerwoną aż po fioletową. Najbardziej spodobał mi się niebieski, ale niestety dostaliśmy klucz do pomarańczowego.

– Pamiętaj, Elu, że ten domek jest nasz. Nie odchodź nigdzie sama! – upominała mama.

Rodzice zajęli się rozładunkiem przepastnych waliz, a ponieważ wewnątrz pokoiku nie było za duże, postanowiłam porozglądać się po okolicy. Bardzo intrygowało mnie nowe miejsce. Nie mogłam doczekać się, kiedy wszystko pozwiemy. Szybko zapomniałam o prośbie mamy i postanowiłam zrobić to na własną rękę. Wiedziałam od taty, że

w każdym takim ośrodku powinien być plac zabaw dla dzieci. Chciałam to sprawdzić i jak najszybciej pobujać się na huśtawce.

Idąc w dość nieokreślonym kierunku, po drodze oglądałam inne rzeczy. Interesowały mnie barwne domki i ich nowo przybyli lokatorzy. Szukałam między nimi dzieci, z którymi miałam nadzieję bawić się podczas wczasów. Niestety, mimo usilnego wypatrywania dostrzegłam tylko albo małe, ledwo chodzące brzdące, albo sporo starsze ode mnie. Pomyślałam, że nie zapowiada się, bym spotkała tym razem kogoś interesującego i postanowiłam zwiedzać dalej ten rozległy i nieznanany teren. Szłam już jakiś czas, lecz mimo tego nie zauważyłam placu z bujawkami, jak to je nazywałam.

Po chwili dostrzegłam za siatką jakieś inne domki, a wśród nich ciekawsze widoki. Biegało tam wiele dzieci. Idąc wzdłuż ogrodzenia, doszłam do małej, uchylonej furtki. Nie myśląc za wiele, przeszłam przez wąską szparę i wędrowałam dalej.

Dzień był ciepły i wciąż, mimo popołudniowej pory, świeciło słońce. Dodawało mi energii i dostarczało pewności siebie.

Tu musi być ciekawie! – pomyślałam, biegnąc w kierunku niewielkiej polanki wśród drzew. Dostrzegłam roześmianych rówieśników, bawiących się piłką. Może i dołączyłabym do grupy, lecz nagle zauważyłam w oddali upragnioną huśtawkę. Była wolna. Stała nieruchomo i zapewne czekała tylko na mnie. Co sił w nogach doleciałam do niej i już po chwili bujałam się pod niebiosami.

Czułam, że jest mi dobrze i rozkoszowałam się kolejnymi porywami wiatru, jaki robiłam wznosząc się i opadając. Słońce nie świeciło już tak mocno, ale nie miało to większego znaczenia. Zapomniałam o całutkim świecie. Żałowałam tylko, że nie zabrałam ze sobą szarego miśka, pewnie razem byłoby nam weselej.

Nie wiem, ile trwało moje „latanie”, gdy po pewnym czasie zauważyłam paru wpatrujących się we mnie chłopców.

- Mała, zeskakuj z huśtawki, teraz nasza kolej! – powiedział rudy.
- Zaraz! Dopiero zaczęłam się bujać – skłamałam.
- Jak tak lubisz fruwać, to idź do tego ośrodka – wskazał mi drogę
- tam są lepsze huśtawki i w dodatku różne. Poza tym, chyba zapomniałaś zmienić buty z zimowych? Nie widzisz, że jest lato? – dorzucił, wpatrując się w moje sznurowane, wysokie obuwie.

– Nie mam innych – odpowiedziałam, patrząc prosto w jego oczy.

Po paru minutach zatrzymałam jednak swój „pojazd” i poszłam we wskazaną stronę.

Powoli robiłam się głodna. Po gołych rękach coraz częściej zawiewał nieprzyjemny chłód. Wtem zupełnie niespodziewanie usłyszałam wśród szarawego już lasu;

– UWAGA! UWAGA! Poszukuje się pięcioletniej dziewczynki. Nazywa się Ela i jest ubrana w niebieskie ogrodniczki z wyszytym łabędziem. Dziewczynka zaginęła trzy godziny temu. Zrozpaczeni rodzice czekają w ośrodku „Czerwony kapturek”.

Jejku! Co to?! Kto to mówił i w jaki sposób ten donośny głos rozlegał się wkoło? Spojrzałam w górę i zobaczyłam metalowe tuby poprzyczepiane do drzew. A to dopiero sztuczka? – pomyślałam i dopiero po chwili skojarzyłam treść komunikatu. Przecież to ja jestem Ela i noszę spodnie z łabędziem! Muszę wracać! Mówili, że rodzice są zrozpaczeni.

Wystraszyłam się. Wyobraziłam sobie, jak mogą wyglądać zrozpaczeni ludzie. Nie rozumiałam tego słowa, ale brzmiało jakoś groźnie.

Na dworze było już całkiem ciemno. Tylko światelka w poszczególnych domkach rozświetlały okolicę. Nie wiedziałam, w jaką stronę mam się udać. Skąd przyszłam? Powoli strach zaczął zaglądać mi w oczy. Na oślep, bez wyraźnego planu, szłam przed siebie. Wkoło nie było nikogo. W czasie gdy szukałam drogi powrotnej, jeszcze dwukrotnie słyszałam ten sam komunikat. Strach zamieniał się w koszmar... Nagle ktoś zaświecił mi prosto w oczy latarką.

– A ty, dziecko, kogoś szukasz? – spytał głos.

Nie chcąc się przyznać, że ja to ja, zakrywając sobie twarz rękami, kłamałam.

– Nie, ja tylko na chwilę wyszłam z domku, już wracam, mama na mnie czeka – mówiąc to chciałam uciec, ale niestety właściciel głosu pierwszy złapał mnie za rękę.

– Dobrze, to ja cię odprowadzę. Gdzie jest mama? – spytał.

Tego już było za wiele. Łzy spływały po policzkach i wreszcie przyznałam się do wszystkiego. Pan natychmiast zaczął mnie uspokajać, wziął na ręce i po chwili stałam u progu swojego domku.

Po sekundzie już wiedziałam, co znaczyło słowo rozpacz.

Parę dni później, gdy złe emocje zdążyły opaść i wszystko wracało

do normy, tata zakomunikował mi, że wieczorem wybierają się z mamą na wieczorek taneczny do pobliskiego ośrodka.

– Nie będzie tam dzieci. Musisz zostać w domku. Położysz się do łóżka i zaśniesz, nawet nie będziesz wiedziała, kiedy wrócimy – mówił.

– Ale ja nie chcę zostać sama. Będę się bała! – odpowiedziałam.

– Nie ma czego. Ale wiesz co, spytam pani Danusi, to ta z domku obok. Ona z mężem też wychodzi, ale zostaje Alik. Może z nim byłoby ci różnie? – proponował.

Lubiłam Alika. Nigdy nie miałam własnego psa, a ten, mieszkając po sąsiedzku, zdążył się do mnie przyzwyczaić. Był grzecznym pekińczykiem. Podawał mi łapę i pozwalał się głaskać. Jego właściciele cieszyli się na ten widok i nawet przekonywali rodziców, że powinnam mieć swego czworonoga.

Po naradzie z sąsiadami klamka zapadła. Starsi w czwórkę wychodzą na zabawę, a ja zostaję z Alikiem. W tej sytuacji nawet poprawił mi się humor. Czekałam na miłe chwile zabawy sam na sam z kudłatym, niewielkim stworzonkiem. Planowałam, że gdy już będę śpiąca, razem położymy się do łóżka.

Rodzice wychodząc po kolacji, zostawili mi całą paczkę przepysznych rodzynek w czekoladzie. Tym prezentem przekupili mnie do końca.

Alik, już wcześniej przyprowadzony przez panią Danusię, siedział grzecznie niedaleko drzwi. Trudno mi było określić, w jakim jest nastroju, bo cały czas dyszał i rozglądał się wkoło. Dopóki jego właściciele byli w domku, nie zmienił ani miejsca, ani wyglądu.

– Trzymaj się, Eluniu! Tylko nie męcz pieska! – powiedział wesoło tata, zamykając drzwi

Siedziałam na swym łóżku i przyglądałam się śmiesznym, czarnym oczom „koleżki”. Uśmiechałam się do niego i starałam wprawić w dobry nastrój.

– Chodź tu, Alik, chodź, zobacz, jakie mam zabawki. Nie martw się, twoja pani przyjdzie niedługo. Ze mną nie będziesz miał źle – pokazałam mu paczkę drobnych rodzynek.

Pekińczyk zainteresował się i wreszcie podszedł. Powąchał wpierw moją wyciągniętą rękę i już po chwili, zdecydowanym gestem, odebrał

pierwszą porcję. Mimo wszystko nie pozwolił się pogłaskać, a co więcej, nie ukrywał niezadowolenia, że dostał tak mało.

Nagle zmienił się jego wygląd. Na miejscu zięjącego pyszczka z różowym języczkiem pojawił się zmarszczony grymas i białe, zaciśnięte zęby. Najwyraźniej chciał mi dobitnie pokazać swoje niezadowolenie. Jakby tego było mało, zaczął warczeć.

Co mu jest? – zastanawiałam się, już trochę wystraszona nagłą zmianą jego zachowania. Nie pomagały ciepłe słowa ani przyjacielskie gesty. Pies cały czas jak zakłęty siedział przy moim łóżku i wpatrując się, groźnie burczał.

Postanowiłam poczęstować go kolejnym smakołykiem. Bezceremonialnie wyrwał mi go z ręki i połknął bez namysłu. Spojrzałam na zawartość celofanowej torebeczki. Dużo to tego nie ma! – stwierdziłam z przerażeniem. Co będzie, gdy już zabraknie rodzynek?

Czas leciał, sytuacja się pogarszała. Alik szczekał i skrobał łapą o pościel na łóżku. Bałam się, że w końcu rzuci się na mnie.

Nie wiem, która była godzina, gdy wreszcie wrócili rodzice. Siedziałam skulona w kącie przy metalowej poręczy, otulona szczelnie kocem. W rękę mocno ścisnęłam jednego rodzyńka. Po palcach spływała rozpuszczona czekolada.

– Tato! To już był ostatni! – powiedziałam z wyciągniętą dłonią.

Rodzice nie mieli pojęcia, o czym mówię. Dziwili się tylko, że mimo późnej pory nie śpię. Nie wierzyli chyba do końca w całą historię, którą przeżyłam, gdy oni sami świetnie się bawili.

Wredny Alik, kiedy tylko weszli jego właściciele, znów odgrywał rolę słodkiej przylepki.

★ ★ ★

Z zamyślenia wyrwał mnie dzwonek telefonu.

To domowy! – szybko rozpoznałam. Muszę wbiec po schodach na górę, tam jest słuchawka.

Kurczę, zawsze te nerwy! Czy zdążę odebrać!/? Niby jest automatyczna sekretarka, ale zapominam jej odsłuchać i ludzie mają pretensje.

– Halo? – niepewnie odezwałam się. – Słucham?!

– Dzień dobry pani, dzwonię z restauracji „Turkuć” – odpowiedział miły kobiecy głos w słuchawce. – Państwo zamawiali stoliki na sobotnią

kolację i chciałam spytać, czy nic się nie zmieniło w planach. Chciałam też potwierdzić ilość zamówionych miejsc.

– Zaraz, zaraz... Pani się chyba pomyliła? – zdziwiłam się.

– O! Przepraszam, w takim razie czy to 6446301? – spytała.

– Tak, zgadza się, ale... – zaczęłam.

– Nazwisko Kurkowski? – przerwała mi rozmówczyni.

– Zgadza się, ale... Oj! – zawahałam się. – Może to mój mąż, ja dopiero wróciłam do Warszawy i wie pani... Nic jeszcze nie wiem.

– Strasznie przepraszam! – powiedziała kobieta. – Widzę, że niechcący popełniłam nietakt, to pewnie miała być niespodzianka?! Ależ ze mnie pleciuga! Od niedawna tu pracuję i jeszcze nie wszystko dobrze mi wychodzi. Bardzo panią przepraszam! – mówiła z zażenowaniem.

– Nie ma za co, w końcu to miła informacja – uśmiechnęłam się.

– Proszę się nie denerwować! Udam przed mężem, że nic nie wiedziałam, ale proszę zadzwonić za parę godzin, wtedy już na pewno będzie w domu – dodałam.

– A może spróbuję na komórkę? – spytała ze skrucą w głosie.

– O! Właśnie tak będzie najlepiej. Ma pani ten numer? – podpowiedziałam.

– Tak, tak – odparła rozmówczyni. – Jeszcze raz przepraszam. Z drugiej strony to może lepiej, że się trochę wcześniej wydało. Będzie miała pani czas, żeby się przygotować na tę uroczystą kolację z tańcami. U nas można posłuchać dobrej muzyki!

– Już dobrze, proszę się nie zadręczać! Wszystko będzie OK! – powiedziałam.

– To do widzenia! – mówiła cicho.

– Do widzenia – odpowiedziałam.

Odłożyłam słuchawkę, ale tym razem wzięłam ją ze sobą. Mimo chodem rozejrzałam się po pokoju. Straszny bałagan. Nieposłane łóżko, szafa otwarta, ale trudno, i tak dobrze, że przetrwali te dni beze mnie – pomyślałam jak ktoś, kto uważa się za niezastąpionego. Przez chwilę zastanowiłam się, niby w żartach, czy jestem niezastąpiona? Skąd ta pewność, że ta „kolacja przy świecach” ma się odbyć ze mną?

Schodziłam po schodach, myśląc o telefonie. Ale numer?! Coś takiego? Nagle wszystkie znane filmy o podobnej fabule, zresztą uważane przeze mnie za banalne i szmirowate, stanęły mi przed oczami. Na

szczęście po chwili sama z siebie i swej nadwyobraźni śmiałam się do rozpuku.

Ale jestem kretynką, po tylu wspólnych latach takie myśli! I jak tu wygrać z nerwicą, jak ciągle sama się podkrećcam? – pomyślałam. W sumie fajnie, chce mi zrobić niespodziankę, i to jaką? Ciekawe, kto mu podsunął to miejsce na imprezę. Ciekawe, jak mi o tym powie i kiedy? Jejku! Ale w co się ubiorę? Przecież to już za parę dni! Tak dawno niczego modnego sobie nie kupowałam, a na takie przyjęcie nie mogę iść w byle czym. Na pewno będzie sporo osób.

Właściwie nigdy nie lubiłam wystawnych zabaw. Obawiałam się, że będzie sztywno i oficjalnie. Lepiej czułabym się we własnym domu.

Wróciłam do kuchni. Wizytówka Leszka z Rembertowa leżała wciąż na stole, a obok stało ulubione, stare krzesło z wysoką poręczą. Przed moim pierwszym balem, na który szłam dawno temu, było świadkiem wyolbrzymionych oczekiwań i pierwszych emocji pięcioletniej dziewczynki.



Śnieg sypał całą noc. Przy moim łóżeczku ze sznurkową kratką, stało krzesło z wysoką poręczą. Wieczorem na tym krześle siadała mama z kolejną porcją tekturowych książeczek. Na zakończenie dnia to obowiązkowy rytuał, wyczekiwany i niezastąpiony. To pora tylko dla mnie i dobrej wróżki. Kolory bajek utulały mnie do spokojnego snu. Ciepły, znajomy zapach mamy mieszał się z wyobraźnią pięcioletniej dziewczynki, tulącej szarego misia z nadszarpniętym uszkiem i śmiesznym wystającym noskiem z brązowej skóry. Na dobranoc jeszcze pocałunek... Ciche szepty w drugim pokoju... Światło lampki gaśnie.

Lecz dziś nie tak łatwo zamknąć oczy. Emocje skaczą po krainach i oceanach wyobraźni. Na krześle leży ogromny kapelusz, przy nim spódniczka z krepiny. Jak tu spać, kiedy jutro mój pierwszy bal?! Wyciągnięta spoza sznurkowej bariery przy łóżku ręka dotyka kapelusza. Mama szyła go cały dzień. Jest taki zabawny. Brązowa, filcowa główka z promykami żółto-pomarańczowych płatków. To pomysł brata!

– Będziesz słonecznikiem! – powiedział i szybko narysował projekt kostiumu.

Mama wyszukała w swoich metalowych pudełeczkach kolorowe